Szelma wdowa

Jarosław Abramow-Newerly *(Toronto)*



Jarosław Abramow-Newerly, fot. arch. autora

Fragment niepublikowanej nowej książki Jarosława Abramowa-Newerly'ego „Ich lwi pazur".

Po przeniesieniu się z Poznania do Warszawy Włodek z rodziną zamieszkał na Muranowie w małym mieszkanku na Nowolipkach. Jego żona Janina, zwana Inką, nie pracowała i zajmowała się domem. Mieli małą, trzyletnią córeczką Kasię, na którą

wołali Katka. Katka była śliczną blondyneczką o zadartym nosku trochę podobna do Włodka. Bardzo mi się podobała i żartowałem, że jak dorośnie to się z nią ożenię. Katka wzięła to bardzo serio, a jak Włodek ze mną przychodził to od progu wołał: – Inka! Zięć przyszedł. Zaparz nam herbaty! Włodek uwielbiał Katkę. Pragnął mieć więcej dzieci, ale Inka nie chciała o tym słyszeć. Ledwie zgodziła się na to jedno. Włodek bardzo nad tym bolał. Inka pochodziła z zamożnej rodziny Bystrzyckich, jej ojciec po wojnie był tak zwaną prywatną inicjatywą i zajmował się w swojej willi w Poznaniu hodowlą pieczarek. Nie był specjalnie zachwycony, że jego młodsza córka wyszła za mąż za chudego literata. Przyjął to jednak do wiadomości. Ambitny i dumny Włodek znając wymagania teścia tym bardziej chciał mu pokazać, że nie jest takim chudym literatem jak on myśli i potrafi swojej rodzinie zapewnić godziwy byt. Inka miała jeszcze starszą siostrę Renię i młodszego brata Bolka. Ich matka była z arystokratycznego rodu hrabiów Sczanieckich, tych samych, co słynna hrabina Emilia Sczaniecka herbu Ossoria, która niosła pomoc rannym żołnierzom w czasie powstania listopadowego. Ten zasłużony ród pochodził z miasteczka Sczaniec w Wielkopolsce. Włodkowi bardzo imponowało to pochodzenie i z dumą podkreślał nazwisko: – Hrabina Sczaniecka nie Szczaniecka, czowieku, ze Sczańca nie Szczańca. Tym razem dykcję miał bezbłędną i zniknęła wymowa poznańska z której tak kpiłem. Inka nudziła się będąc sama w domu i jak przychodziliśmy to z ciekawością wypytywała mnie co nowego w

radio i tak zwanym środowisku. Być żoną pisarza to nie jest łatwy kawałek chleba. Nie dziwiłem się jej. Była młodą, ostrą brunetką o kocim spojrzeniu szarych oczu i spragniona była towarzystwa, a Włodek prowadził bardzo monotonny tryb życia. Rano wychodził do pracy, a jak wracał to zjadał kolację i zasiadał do pisania. Pisał do późna w nocy. Już wtedy miał imponujący dorobek literacki. Wydał świeżo „Kwarantannę", a wcześniej „Białe lato" i „Miejsca nawiedzone". Teraz był w trakcie pisania powieści „Zmierzch świata". Był laureatem prestiżowej nagrody młodych imienia Tadeusza Borowskiego. Borowski autor wstrząsających opowiadań oświęcimskich „Pożegnanie z Marią" i „Proszę państwa do gazu" zmarł śmiercią samobójczą w 1951 roku. Myślę, że ta prestiżowa nagroda jego imienia pomogła Włodkowi w przeniesieniu się do Warszawy i otrzymaniu posady w radio.

Często do Odojewskich przyjeżdżała z Poznania siostrzennica Inki Hania, córka Reni z pierwszego małżeństwa. Renia miała chyba oprócz ojca Hani bodajże jeszcze dwóch mężów. Hania była wtedy piętnastoletnią dziewczyną dość ładną o trochę pucołowatej twarzy. Jak Włodkowie wyszli do kuchni, a Katka już spała i zostaliśmy sami, Hania wyraźnie zaczęła mnie uwodzić. Zbliżyła się do mnie blisko twarzą, patrzyła wyzywająco w oczy i wyraźnie czekała, żebym ją pocałował. Na szczęście z tej kłopotliwej sytuacji wybawił mnie Włodek, który wszedł do pokoju. Obydwoje Odojewscy bardzo lubili Hanię, a Włodek jej

trochę ojcował. Znali ją od dziecka.

Włodek bardzo przeżył wydarzenia poznańskie w czerwcu 1956 roku. Pracował wtedy jako dziennikarz i był na miejscu wypadków. – W prosektorium widziałem zwały trupów, kochany. Pomordowanych robotników z Zakładów Cegielskiego i zwykłych przechodniów. Leżeli w wannach w formalinie. Przerażający widok. Władze to wszystko ukrywały. Robiłem na gorąco notatki, bo chciałem to kiedyś opisać. Te notatki mam w swoim archiwum – mówił. W geście protestu wystąpił z partii w 1957 roku, za co wyrzucono go z pracy w „Tygodniku Zachodnim".

Wszystkie świeżo napisane rozdziały najpierw dawał do przeczytania Ince, z której zdaniem bardzo się liczył. Ona była pierwszą czytelniczką i jeżeli coś jej się nie podobało to Włodek zmieniał i poprawiał. Fragmenty swojej prozy drukował w tygodniku „Współczesność" , z którym był związany. Miał tam wielu kolegów i przyjaciół, którzy odwiedzali nasz redakcyjny pokój. Mnie bardzo podobały się rozdziały „Kwarantanny", które dał mi do przeczytania. Miałem tylko jedną uwagę. Namawiałem go, żeby bardziej konkretnie umiejscawiał akcję powieści. Dotyczyło to głównie nazw miejscowości. Żeby było wiadomo gdzie to się dzieje, a nie wszędzie czyli nigdzie. Chodziło o opis naszych Kresów. Włodek trochę ze względu na cenzurę odrealniał ten tekst, ale teraz powiedział, że pójdzie na całego.

No i poszedł.

Raz na tydzień odbywały się u dyrektor Aliny Szenwaldowej kolegia, na które zapraszani byli kierownicy wszystkich redakcji literackich. A było ich naprawdę wiele. Nasze redakcje słuchowiskowe, redakcja adaptacji radiowych, redakcja prozy, redakcja poetycka, redakcja reportażu dźwiękowego i literackiego, redakcja „W Jezioranach", nowej powieści radiowej rozgrywającej się na wsi, wreszcie redakcja satyry i humoru. Ta ostatnia mieściła się na drugim piętrze i zatrudnionych w niej było wielu znakomitych humorystów i satyryków, dość, że wymienię twórcę radiowego kabaretu „Szpak" , opiekuna naszego studenckiego teatru STS, Zenona Wiktorczyka, znanego powszechnie z popularnej audycji „Podwieczorek przy mikrofonie", Jeremiego Przyborę, Ludwika Górskiego, Henryka Bardijewskiego i wielu innych. Radio na Myśliwieckiej to było wtedy imperium, które szczyciło się swoją artystyczną odrębnością i śmiało konkurowało z radiem przy ulicy Malczewskiego, w którym urzędowali prezesi Radiokomitetu i był tam dział publicystyczny, zwany realizacją. A Alina Szenwaldowa była w tym imperium żelazną damą, która twardo rządziła tu od wielu lat. Była przedwojenną ideową komunistką, żoną bohaterskiego poety żołnierza Lucjana Szenwalda poległego na froncie
w 1944 roku. Jego imienia były szkoły i ulice w Polsce. Myślę, że właśnie złośliwcy z redakcji satyry i humoru ukuli o niej nazwę

Szelma Wdowa.

Szenwaldowa była wtedy kobietą po pięćdziesiątce, bardzo wysoką i potężnie zbudowaną. Do jej gabinetu na naszym pierwszym piętrze wchodziło się przez sekretariat, w którym urzędowała wierna sekretarka młoda i ładna Lusia Abolnikow. Alina Szenwaldowa z racji swojej funkcji bardzo dużo czytała i interesowała się młodymi pisarzami, których chciała za wszelką cenę przyciągnąć do radia. Była krótkowidzem i jak czytała tekst to przykładała go blisko oczu. Bardzo nas młodych lubiła i w gabinecie odkładając tekst od oczu przyjaźnie witała: – I co nowego, chłopcy? Mówcie śmiało – pytała. Starała się być dla nas dobrotliwą ciocią i wiele spraw mogliśmy z nią załatwić. To ona, zaraz po moim przyjściu do pracy, namawiała mnie, żebym zrobił coś takiego jak w STS-ie. Za jej zachętą przestawiłem istniejącą już audycję Radiowy Teatrzyk Miniatur „Zwierciadło" na te esteesowskie tory. Tylko zamiast humorystycznych skeczów nadawałem miniatury literackie poprzedzielane piosenkami. Zamawiałem je u kolegów młodych pisarzy. Do „Zwierciadła" pisali teksty Janusz Krasiński, Ireneusz Iredyński, Marek Nowakowski, Andrzej Krzysztof Wróblewski i wielu innych. Pisali chętnie bo dopingował ich bodziec finansowy. Świetnie i szybko wypłacałem honorarium, które wynosiło wtedy za każdą miniaturę 300 złotych. Zaraz po nadaniu audycji szli z kwitem do radiowej kasy przy ulicy Noakowskiego i pobierali pieniądze.



Włodzimierz Odojewski, 1955 r., fot. arch. W. Odojewskiego

Teksty piosenek do „Zwierciadła” pisali Agnieszka Osiecka, Edward Fiszer, Jerzy Sułkowski, Włodzimierz Słobodnik, muzykę zaś do niej komponowali moi przyjaciele z STS-u Marek Lusztig i Edward Pałłasz. W „Zwierciadle” debiutował w radio młodziutki Wojciech Młynarski. Jego piosenkę napisaną wspólnie z kuzynem Romanem Orłowem przyniosła do mnie do redakcji jego mama – Magdalena Młynarska, która występowała w radio w audycjach dla dzieci razem z moją Mamą. Również znana

później kompozytorka Katarzyna Gaertner pierwszą swoją piosenkę nagrała w „Zwierciadle”. Na tych kolegiach u Aliny Szenwaldowej zatwierdzano plany poszczególnych redakcji. Każdy kierownik redakcji mówił co zamierza zrobić, a Alina Szenwaldowa na ogół dość łatwo to akceptowała. Często namawiała nas na zrobienie adaptacji książek, które przeczytała lub próbowała wprowadzić do radia pisarzy popieranych przez władze.
Kiedy wymieniała nazwisko takiego ulubieńca reżimu Włodek nie wytrzymywał i wykrzykiwał: – Ależ to potworny grafoman, pani Alino! Nie da się go czytać. – Ja wiem, panie Włodku, ale może można by było go jakoś przerobić. Dobrze by było bowiem dla radia żeby zaistniał na antenie – dawała lekko do zrozumienia, że ją z góry naciska o to kierownictwo.

Włodek nie krył swoich przekonań i niezależnej postawy. Czasem wybuchał zbyt szczerze tak, że ja go hamowałem. Pamiętam raz na takim kolegium Alina Szenwaldowa zaczęła narzekać na kolejki w aptekach i w sklepach. – To nie do wytrzymania! – użalała się. Włodek jej przerwał i wypalił: – To wy komuniści wprowadziliście w 1949 roku tak zwaną bitwę o handel. Przedtem kolejek nie było i nie „czeba” było rzucać towaru do sklepów. To pani towarzysze tak nas urządzili. Do nich niech pani ma pretensje, pani Alino! – swierdził.

W duchu zadrżałem i czekałem co będzie dalej. Ale Alina

Szenwaldowa dobrotliwie uśmiechnęła się i polubownie powiedziała: – Już dobrze, panie Włodku. Nie mówmy o handlu. Jakie słuchowiska pan ostatnio nagrał? – zmieniła temat. Miała dobry gust literacki i ceniła bardzo Włodka jako wybitnego pisarza i świetnego redaktora, który w krótkim czasie rozwinął dział słuchowiskowy do niebywałych rozmiarów. Zaczęto mówić o polskiej szkole słuchowiska radiowego. Do pisania słuchowisk Włodek zachęcał pisarzy z całego kraju. Dbał o tych, którzy byli w biedzie i potrzebowali finansowego wsparcia. Na przykład bardzo cenił Stanisława Swena Czachorowskiego, trudnego awangardowego poetę. Pamiętam poszliśmy raz z Włodkiem do Swena do domu. Mieszkał w jakiejś suterenie w śródmieściu z żoną plastyczką, która wyrabiała gliniane figurki i z tego się utrzymywali. Parę takich figurek podarowała mi na pamiątkę. Sam Swen był wtedy chory i leżał w łóżku. Zrobił na mnie miłe wrażenie wrażliwego i niezaradnego człowieka. Włodek wydobył od niego tekst pisany prozą, przerobił ją na słuchowisko i nadał w radio. W ten sposób Swen otrzymał trochę pieniędzy. – Swen Czachorowski to wybitny poeta. Podczas okupacji stworzył wraz z Mironem Białoszewskim teatr, który nazwali „Swen" – powiedział Włodek – Teatr ten działał w konspiracji przez dwa lata. Był podobnie awangardowy jak późniejszy Teatr na Tarczyńskiej Mirona Białoszewskiego – dokończył.

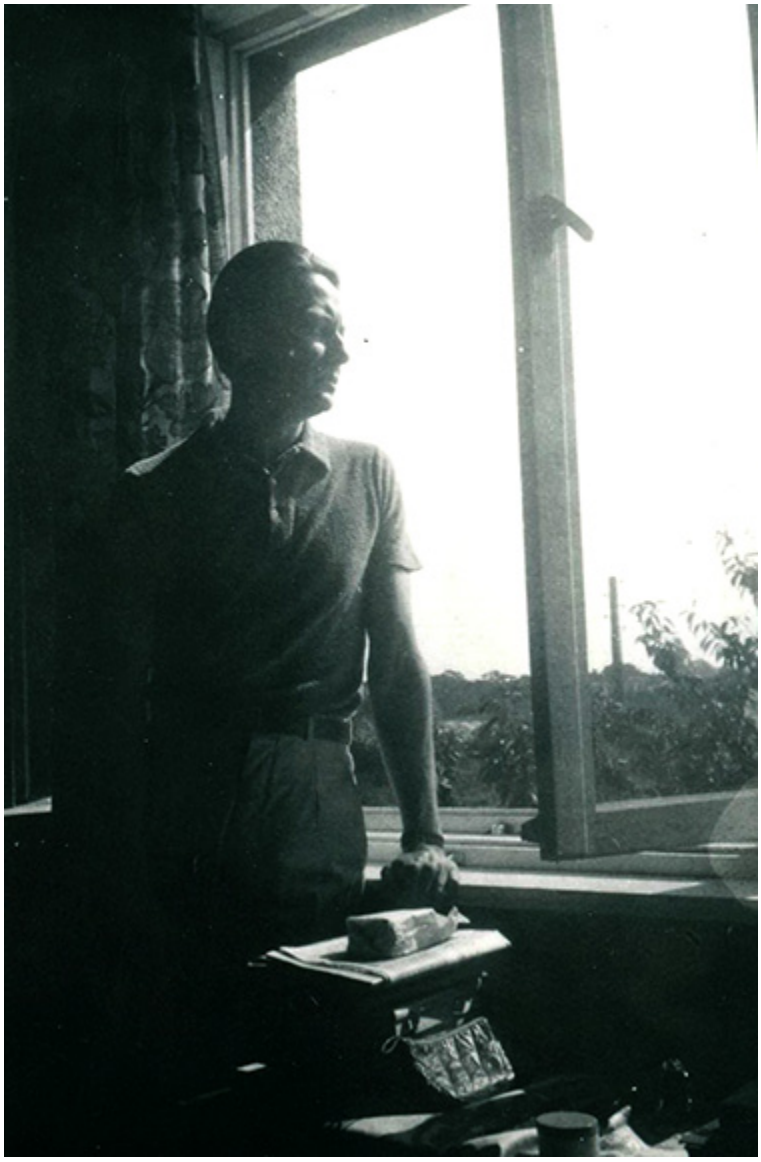
– Byłem w Teatrze na Tarczyńskiej w 1956 roku – odparłem – Teatr ten polecił nam, członkom STS-u nie kto inny tylko

minister Kultury i Sztuki Włodzimierz Sokorski. I muszę przyznać, że byłem bardzo rozczarowany widząc Białoszewskiego z wymalowaną twarzą jak igra ze słowami, które nic nie znaczyły. Wzburzony po tym przedstawieniu, które było według mnie bezideowe i o nic nie walczyło napisałem do STS-monolog „Wróżka" zaczynający się od słów: – Abra kadabra! Ale aleje leje jeleń! – i dalej w tym stylu parodiowałem Białoszewskiego. Dziś przyznaję się, że nie poznałem się na jego oryginalnym talencie. Poznała się na nim zaś moja węgierska tłumaczka Gracja Kerenyi, która o Teatrze na Tarczyńskiej napisała pracę doktorską. – No, widzisz! Zdarza się! Ale parodia znakomita. Ale aleje leje jeleń- powtórzył ze śmiechem Włodek.

Chętnie nadawał w swoim Studio Współczesnym innego wybitnego poetę lingwistę, którego znał jeszcze z czasów poznańskich – Tymoteusza Karpowicza. Karpowicz przesyłał mu swoje słuchowiska z Wrocławia: – No, jaki ten Karpowicz jest? – pytałem. – Za długi, czowieku! Pomysł kapitalny. Ale rzecz strasznie przegadana! Na dwie godziny grania. Będę ją musiał w domu przyciąć – mówił wkładając tekst do teczki. – Odwieziesz mnie? – spytał. – Jasne! – odparłem.

Jako nieliczny pracownik radia miałem swój samochód. Był to przedwojenny Citroen BL11, który kupiłem w 1959 roku podczas mojego pobytu we Francji. Miałem z nim mnóstwo kłopotów, bo

ciągle się psuł i musiałem oddawać go do warsztatów naprawy. Najczęściej wysiadały mu przednie przeguby, które trzeba było wymieniać. Kosztowało mnie to kupę forsy, ale i przyjemność była duża. Mogłem zadawać szyku przed kolegami. Kiedy więc przyjeżdżałem do pracy swoim czarnym bolidem, jak żartobliwie nazywał ten wóz Zygmunt Hertz z paryskiej „Kultury", to odwoziłem zawsze Włodka na Muranów, a potem jechałem do siebie na Żoliborz. Obydwaj zabieraliśmy teksty do zredagowania w domu, bo w radio w tym przeludnionym pokoju nie było do tego warunków. W związku z tym wywalczyliśmy u dyrektor Szenwaldowej prawo do późniejszego przychodzenia do pracy, bądź opuszczania niektórych dni. Przed naszym przyjściem do radia obowiązywała surowa lista obecności, którą podpisywało się po przyjściu do pracy przy strażniku o ósmej godzinie rano. Pobyt w redakcji trwał do godziny 16-ej. Pełne osiem godzin. My przekonaliśmy Szenwaldową, że nie jesteśmy urzędnikami tylko pisarzami i rozliczani powinniśmy być z tego co napiszemy i zredagujemy, a nie z tego, że przesiedzimy w redakcji przykładnie osiem godzin od dzwonka do dzwonka. Alina Szenwaldowa, inteligentna kobieta widząc, że mamy rację przystała na tą niepisaną umowę. W ten sposób często pracowaliśmy w domu, a w radio jeden drugiego zastępował. Jak Włodek był nieobecny, to ja załatwiałem jego interesantów.



Włodzimierz Odojewski, 1965 r., fot. arch. W. Odojewskiego

Byłem w lepszej sytuacji od niego, bo on pracował sam. Tylko przez krótki czas zatrudniony był na etacie Janusz Krasiński i Władysław Lech Terlecki. A w mojej redakcji urzędował przykładnie mój zastępca Andrzej Wiktor Piotrowski oraz Jadwiga Płońska – i oni mnie zastępowali. Obydwoje byli świetnymi redaktorami i zajmowali się adaptacjami powieści na słuchowiska. Andrzej jako wielki erudyta i mól książkowy wynajdywał interesujące teksty, robił też znakomite

faktomontaże. Zapamiętałem jego wstrząsający faktomontaż zrobiony w dwudziestą rocznicę Powstania w Getcie Warszawskim w 1943 roku. Andrzej wygrzebał ulotki i odezwy z tamtych czasów i wszystko to robiło duże wrażenie. Z czasem i oni nauczyli się przychodzić później do radia albo wręcz nie przychodzić – Jarosław! Czy pozwolisz, że ja jutro zostanę w domu, bo mam do zredagowania ważny tekst, a tu nie mam warunków!? – rzekł Piotr głęboko patrząc mi w oczy i gryząc wykałaczkę. Oczywiście zgodziłem się.

Jadwiga Płońska była rodowitą lwowianką i mieszkała we Lwowie do 1945 roku. W jej wymowie jednak nie było śladu lwowskiego akcentu. Była żoną starszego od siebie o wiele lat pułkownika Doriana Płońskiego, który zmarł przed paru laty. Miała z nim córkę Martę, kilkunastoletnią dziewczynkę. Jadzia były bardzo wesoła i towarzyska i przychodziło do niej do pokoju wiele przyjaciółek. Przede wszystkim Zofia Posmysz, która oprócz tego, że prowadziła redakcję „W Jezioranach" napisała świeżo słuchowisko „Pasażerka", w którym wykorzystała swoje doświadczenia w Oświęcimiu, do którego trafiła jako młoda dziewczyna. Wkrótce „Pasażerka" przerobiona została na widowisko telewizyjne, a następnie według tego scenariusza zaczął kręcić film młody i utalentowany reżyser Andrzej Munk. Nie zdążył jednak ukończyć filmu, bo zginął śmiercią tragiczną w katastrofie samochodowej w 1961 roku i „Pasażerkę" dokończył za niego jego przyjaciel reżyser Witold Lesiewicz. Po

powstaniu filmu „Pasażerka” stała się głośna i zrobiła międzynarodową karierę. Zainteresował się nią radziecki kompozytor Mieczysław Weinberg, który według jej libretta stworzył operę graną do dziś na całym świecie. Do Jadzi przychodził też często młody Józef Hen. Znał świetnie jej męża Doriana Płońskiego, który był redaktorem naczelnym tygodnika „Żołnierz Polski”. W tym tygodniku Hen pracował. Z racji tej wizyty Jadzia dała mi do czytania jego świeżo wydaną książkę „Więzień i jasnowłosa”, która zrobiła na mnie duże wrażenie.

Czasem tym moim bolidem robiliśmy krótkie wypady. Na przykład jechaliśmy do słynnej restauracji Berentowicza w Konstancinie na faszerowane kurczaki. Berentowicz słynął z nich jeszcze przed wojną. Ledwie usiedliśmy przy stole, a pod restaurację zajechał taki sam jak mój citroen tylko większy BL15 i wysiadł z niego otyły starszy pan z siwą grzywą lwa podpierający się dwiema laskami. Wywijając nimi dziarsko wmaszerował do środka: – Czowieku! – trącił mnie Włodek – Pacz! To Cat! Cat-Mackiewicz! Rzeczywiście był to on. Na jego powitanie wyszedł w kucharskim fartuchu właściciel restauracji Berentowicz i kłaniając się nisko powiedział: – Proszę bardzo, panie premierze. Do drugiej sali. Wszystko przygotowane! – To świetnie, kochasiu! – pochwalił go Cat-Mackiewicz z wileńskim akcentem i pomaszerował do sali obok. – Jesteśmy w dobrym przedwojennym towarzystwie, panowie – stwierdził Andrzej Piotrowski, czyli Piotr albo Pietruszka jak go

nazywaliśmy, i przypomniał, że w 1956 roku jak Cat-Mackiewicz przestał być premierem w Londynie i przyjechał do Polski, to w Gdańsku występował STS z „Agitką” i ktoś go przyprowadził na nasze przedstawienie. Cat przecierał oczy i nie wierzył, że taka wolność panuje w Polsce. Myślał, że to prowokacja i za chwilę będzie aresztowany – zachichotał Piotr.

Kelner przyniósł nam kurczaki i przystąpiliśmy do jedzenia. – No jak, panowie? – Cat-Mackiewicz wie co dobre. Ponoć jest wielkim smakoszem! – rzekł Piotr. – Wyśmienite! Czeba przyznać! – odparł Włodek i po tej przedwojennej uczcie kulinarnej w świetnych humorach wróciliśmy do domu.